

Na początku był chaos

Miasto w swojej strukturze materialnej jest śladem obecności człowieka, a w warstwie emocjonalnej – śladem ograniczonej kondycji człowieka – mówi malarz **Artur Przebindowski**



„Megalopolis VII”. Artur Przebindowski: – Fawele, czyli biedne przedmieścia państw Ameryki Południowej, urzekły mnie swoją chaotyczną strukturą

MALGORZATA I. NIEMCZYŃSKA: Gdy patrzę na Pana prace z cyklu „Miasta”, nasuwa mi się banalne pytanie: jak długo pracuje Pan nad jednym takim obrazem?

ARTUR PRZEBINDOWSKI: Odpowiem filozoficznie. Mój kolega usłyszał kiedyś to samo pytanie. Gdybym chciał odpowiedzieć w jego duchu, odparłbym: 43 lata, dwa miesiące i 12 dni.

Bo tyle Pan żyje?

– Właśnie. I coś w tym jest. Obraz, który maluję w tej chwili, miał swój początek dawno temu. Jeśli jednak pyta pani o proces uwikłany w technologię, to... też mi trudno odpowiedzieć, bo zwykle pracuję nad kilkoma obrazami naraz. Gdyby uparła się pani jednak mnie w tej kwestii dalej molestować, mógłbym powiedzieć, że trwa to kilka tygodni, jak sądzę. Czasem mimo wszystko jedna praca bywa dominująca. Zdarzają się też sytuacje, w których gonią mnie terminy.

Proszę mi powiedzieć, skąd Pan pochodzi, a ja zaraz wyjaśnię, dlaczego pytam.

– Urodziłem się w Chrzanowie, ale – jak twierdzi moja mama – było to zrządzenie przypadku, bo rodzice mieszkali wówczas w Jaworznie, na styku Małopolski i Śląska. Tam zresztą spędziłem dzieciństwo. W ciekawym historycznie miejscu skądinąd, bo ukształtowanym przez Trójkąt Trzech Cesarzy i trzech zaborów, ze stacją Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, trójkątnym rynkiem, neogotyckim kościołem i nieistniejącą już synagogą. Później wyjechałem do Bielska, bo tam chciałem iść do liceum plastycznego. To był pierwszy taki pobyt poza domem, do którego wracałem tylko na



Artur Przebindowski ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, tutaj mieszka i pracuje. We wrześniu zdobył główną nagrodę XXIII Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie

weekendy. A później był już Kraków, choć początkowo z przerwami.

Dominujący w Pana twórczości motyw wiąże się z inspiracją którymkolwiek z tych pejzaży miejskich?

– Piętno własnej osobowości oraz rozmach realizacji eliminują dosłowność motywów. Miasto Megalopolis jest totalnym śmietnikiem historii. Zastanawiałem się po prostu, jak opowiedzieć o człowieku, czyli o sobie, w sposób możliwie dyskretny, ale i całościowy, przekonujący. Jak znaleźć sposób obrazowania, narracji bez narracji rozumianej literacko, aby stworzyć możliwie najbardziej zgodny z moim typem wrażliwości sposób opowiadania o sobie samym. W gruncie rzeczy do tego wszystko się sprowadza. Tworzę pewien typ komunikacji za pomocą znaków plastycznych, a emocje i nastroje zawarte w tym przekazie są najważniejsze. Albo inaczej: decydujące o kształcie zja-

wiska. Motyw jest właśnie przez to zdeteminowany. Choć sam motyw jest oczywiście istotny i wynika ze świadomego wyboru – chcę tylko podkreślić, że samo miasto – nawet określane jako Megalopolis, z całym skojarzeniowym kontekstem – niewiele jeszcze znaczy. Chodzi przede wszystkim o przekonującą umiejętność opowiadania o sobie, czyli o człowieku. Miasto w swojej strukturze materialnej jest śladem obecności człowieka, a w warstwie emocjonalnej – śladem ograniczonej kondycji człowieka. Zabiegi kompozycyjne, multiplikacja służą wyeksponowaniu i natężeniu tego zjawiska.

Mówi Pan: „o sobie, czyli o człowieku”, „o człowieku, czyli o sobie”. Stara się Pan być w tych pracach everymanem?

– Tak można powiedzieć, choć jest to oczywiście mój punkt widzenia. Nie mam prawa do stawiania się w sytuacji innego człowieka, nie mam też do tego

instrumentów. Mam jednak świadomość, że jesteśmy zdeteminowani wspólnym doświadczeniem i w gruncie rzeczy jesteśmy bardzo podobni. Staram się opowiadać o tym wszystkim w sposób na tyle dyskretny, aby zawrzeć w swoich obrazach jak największe stężenie emocji. Motyw miasta właśnie to mi umożliwia, choć powoli staje się już tylko pretekstem. Moje miasto zaczyna przypominać kosmos, jakąś totalną strukturę, w której uczestniczymy, która nas – innymi słowy – ogarnia.

Ten kosmos przypomina niekiedy chaos, a semantycznie to przecież przeciwieństwo.

– Fawele, czyli biedne przedmieścia państw Ameryki Południowej, urzekły mnie swoją chaotyczną strukturą (taki był punkt wyjścia, ale teraz poszedłem już w zupełnie inną stronę, korzystam z wielu doświadczeń). Człowiek wszystko stara się na swój sposób porządkować, ale coś mu się zawsze wymyka. Ma przecież ograniczone możliwości percepcyjne czy dialogiczne na przykład. **Czy w tym świecie ludzi o ograniczonych możliwościach ma Pan mistrzów?**

– Słowo „mistrz” zobowiązuje, a ja staram się unikać deklaracji. Jestem dośyć otwarty na życie, nie wiem, co wydarzy się jutro, co mnie zaskoczy i zmieni mój sposób patrzenia na świat. Paradoksalnie największym mistrzem w moim życiu był człowiek, z którym się zetknąłem w wieku siedmiu lat, gdy chodziłem na kółko plastyczne w Jaworznie. Ten pan był nieprofesjonalnym malarzem, w sposób amatorski i bezpretensjonalny tworzył akwarele i obrazy olejne, a w miejscowym domu kultury opiekował się dziećmi i młodzieżą w ramach kółka nazywanego Plastusie. Co

wtorek biegałem tam przez całą szkołę podstawową. Nie mogłem się doczekać tych spotkań i byłem nimi ogromnie zafascynowany. Panowała tam wyjątkowa atmosfera twórczego luzu. Ten pan skończył przed wojną uniwersytet wileński. Format człowieka nieprawdopodobny. Już nie żyje, ale długo utrzymywałem z nim kontakt. Wraz z upływem czasu, gdy zdobywałem kolejne szczeble wykształcenia, on rósł w moich oczach jako człowiek, bo coraz bardziej zdawałem sobie sprawę z jego wyjątkowości, ale równocześnie coraz bardziej dystansowałem się też wobec jego twórczości, która okazała się słaba. Dla mnie to jednak bez znaczenia – dla mnie liczy się, że w odpowiednim momencie ten człowiek stworzył mi atmosferę, której tak bardzo potrzebowałem do rozwoju.

A dziś czego Panu do malowania potrzeba?

– Towarzyszy mi wiele zjawisk, których nie potrafię nazwać. Jeśli ktoś uważnie obejrzy moje obrazy, znajdzie tam bardzo dużo informacji o ich autorze. O tym, jak żyje, jaka jest moja percepcja, jakim jestem człowiekiem.

Panu do tworzenia wyraźnie potrzebna jest uczciwość.

– Każda praca, każdy wysiłek, każdy rodzaj komunikacji z bliźnim wymaga szczerości. Ja mogę powiedzieć: „Jestem draniem”, ale nie mogę udawać kogoś innego – owcy w wilczej skórce lub na odwrót. Nie muszę być zorientowany na wartości takie czy inne, każdy ma prawo decydować o swoim życiu i kształtować je. Nie wolno mi natomiast posługiwać się żadną formą manipulacji. Tego nie chcę robić i nie robię. Myślę, że nie robię. ☉

ROZMAWIAŁA MALGORZATA I. NIEMCZYŃSKA

KR